

WIDZOWE na przedstawieniu „Rózy tatuowanej” mieli tę wyższość nad mną, że nie widzieli filmu pod tym tytułem z Anną Magnani. Kiedy oglądałam ten film byłam przekonana, że „Róża” to dobry materiał dramaturgiczny, dobrze napisane role — ba, dobra literatura. Po zobaczeniu „Rózy” na scenie zadaje sobie pytanie jak ten pseudopoetycki kogel-mogel mógł mi się podobać? A może chodzi o dwie zupełnie inne róże? Tu się kończy moje prawo do dyskusji, bo widzowie polscy filmu nie znają, natomiast posunięto im na deskach filii Teatru Narodowego przysmak dla drobnomieszczan, którzy będą dumni z tego, że dopuszczono ich do uczestnictwa w misterium (w ich pojęciu) o sprawach płci, którzy będą przekonani, że dreszczyk, jaki ich przechodzi jest dowodem ich odwagi, nowoczesności, tolerancji.

Tę sztukę należy pokazać zupełnie inaczej, albo nie pokazywać jej wcale. O co chodzi w inscenizacji Teatru Narodowego? Nie wiem. O miłość, owo „amore”, które symbolicznie acz nawiśnie kończy sztukę? O wstrzemięźliwość piciową? O prymitywny katolicyzm Serafyny, czy o jej sycylijską pogańskość? Czy też może o to, że byle trafić na swojego szofera, a wszystkie problemy życia zostaną załatwione.

Jest w tej sztuce i w przedstawieniu coś obrzydliwego i śmieszno jednocześnie. Młody marynarz mocujący się ze swoimi chuciami, dziewczynka, która jak najprędzej chce się pozbyć dzie-

wictwa, psychiczna nekrofila Serafyny pod figurą Matki Boskiej, mistyczna Assunta, która przyrządza jakies środki podniecające i nimi handluje — mieszczańskie piernaty usłane różami.

A historia jest zwykła: mąż od roku zdradza żonę, a że para się przemytnictwem (pod bananami wozi narkotyki), więc go pewnego dnia dosięgły kule policji. Jego żona Serafina, dla której miłość do niego była oltarzem, wpada po śmierci męża w stan apatii trwający trzy lata. Staje się po-śmiwiskiem sąsiadek, ale wreszcie spotyka na drodze życia przystojnego szofera, wyrzuca urnę z prochami męża i wraz z urną swoją wstrzemięźliwość i opory. I wszystko kończy się dobrze.

Problemy tyluż odwieczne, co

banalne. Sztuka na pewno n'ie jest perłą w twórczości Williama, ale od czego rola teatru i reżysera, żeby pokazać widzowi swoje spojrzenie, swój stosunek do tej sztuki, lub w końcu — jeżeli to jest niemożliwe — żeby chociaż nie eksponować tandety.

W filmie, proszę mi wierzyć na słowo, te same zdarzenia, uczucia, problemiki nie były głupie ani

stałe to wykorzystane, skutkiem czego postacie sztuki wchodzą i schodzą ze sceny bez żadnych intencji albo z takim ich nadmiarem, że starczyłoby tego materiału na kilka sztuk.

Serafina della Rose gra Irena Eichlerówna. Widziałam parę złych przedstawień, w których Eichlerówna była świetna, i wcale jej nie przeszkadzało, że w

bałe mi się wejście Flory (Barbara Fijewska) i Bessie (Joanna Walterówna), dwóch dziewcząt lekkich obyczajów, bardzo dobrze zróżnicowanych zewnętrznie.

Drugiej damskiej parze — Giuseppina (H. Bartosikowa) i Pepina (R. Kutakowska) — reżyser kazał udawać matki dorosłych dzieci, a scenograf ubrał je w sukienki typu moda młodzieżowa z C.D.D. Nic dziwnego, że obie panie nie wybrnęły z tych sprzeczności.

Para młodych także udaje — Włodzimierz Kmicik prostego amerykańskiego chłopaka (ta charakterystyczność jest sztuczna i razi), Krystyna Walczakówna — młodszą niż jest (a po co, jest chyba dostatecznie młoda, aby grać siebie). Te niedomogi sprawiają że obydwoje raz po raz popadają w mimoderie.

Assunta, wieszyczka i znachorką była Danuta Wedyńska. Woliałabym żeby grała po prostu ludową akuszerkę. Małgorzata Lerentowicz dobrymi warunkami uprawopodobniała wiarołomstwo męża Serafyny, a Janina Niczewska była kulturalną Miss Yorke.

Całe przedstawienie w tempie powolnym. Taka jest widać u nas recepta na inscenizowanie sztuk amerykańskich, które opanowały ostatnio nasze sceny (Saroyan, Miller, Williams).

KRYSTYNA DOMIN

Tennessee Williams — „Tatuowana róża”. Przekład Juliusza Kydryńskiego. Reżyseria: Władysław Krasnowiecki. Scenografia: Zenobiusz Strzelecki.



Mieszczańskie piernaty usłane różami

banalne — co najwyżej zabawne. Film był grany komediwnie i komediowo i to jest chyba jedyna słuszna propozycja interpretowania tego utworu. Nie było to misterium, ale obyczajowy obrazek z życia Sycylii.

Przedstawienie warszawskie jest tyluż „bezpłciowe, ile się w nim o płci mówi. Wszystko się na to składa: brak reżysera, że obsadzeni aktorzy, dekoracje. Aktorzy dzielą się na dwie partie. Po jednej stronie jest Irena Eichlerówna, po drugiej reszta. Ta reszta rzucona na głęboką wodę, ratuje się jak może. Nie można mieć do nich o to pretensji. Każdy z aktorów nawet w najmniejszych epizodach daje jakies propozycje, na których można by zbudować całość roli. Ale nie so-

nich grała. Była ponad otaczającą ją rzeczywistość. Tu zachodzi ten sam przypadek. Aktorstwo Eichlerówny jest tak indywidualne i doskonałe, że nie osmieliłabym się powiedzieć, czy gra tę czy nie tę postać. A scenę w drugim akcie, kiedy Serafina poznaje Alwara, trzeba zobaczyć, bo Eichlerówna gra ją przeciw roli i to jest właśnie zaskakujące i świetne. To chyba jedyna aktorka w Polsce, która ma taką bogatą fantazję i taką odwagę w przygotowywaniu pułapek na widza. Tadeusz Bartosik zniknął w cieniu Serafyny, ale nawet w tym cieniu miał dobre sceny w drugim akcie. W akcie trzecim jakie szefer-elegant uwierzył, że jest wespaniały i to go zgubilo. Z epizodów najbardziej podo-